

Zanim kurtyna pójdzie w górę

Za chwilę Dułska wychodzi na scenę

Gong. Światła powoli gasną. W oddali słychać równe bicie zegara. Raz, dwa...

— Hesia, Mela wstawać! Felicjan! Do biura! — szeleszcząc jedwabiem halek wchodzi na scenę Mieczysława Ćwiklińska, tj. przepraszam... Pani Dułska ze sztuki Zapolskiej. Kurtyna poszła w górę. Przedstawienie zaczęło się. Zostawmy jednak tym razem, to co rozgrywa się na scenie w spokoju i zajrzyjmy za kulisy.

Państwowy Teatr Nowy, w którym się znajdujemy, to jeden z najbardziej uposażonych pod względem warunków technicznych teatrów stolicy. Ciasnota i brak najelementarniejszych pomieszczeń, jak podręczne magazyny, rekwizytornie itp. wymagają zarówno od personelu technicznego, jak i aktorskiego maksimum wysiłku i tak zwanego „zgrania” się ze sobą. Teatr jest bowiem także swego rodzaju fabryką. By produkcja (tj. sztuka) się udała, potrzebni są nie tylko dobrzy aktorzy i reżyser, ale także cała rzesza szarych, nieznanych publiczności, pracowników technicznych: maszynistów, elektrotechników, garderobianych, dekoratorów, charakteryzatorów itp.

— Prasowaczka p. Bury rozłożyła swój warsztat w ciasnym przejściu pod sceną. Na zwykłych gwoździach wbitych w ścianę wiszą rzędem przeróżne kostiumy. Wszystko musi być na czas odprasowane. Robota „pali” się w rękach naszej rozmówczyni. Musi ona jeszcze ubrać „panienki”, gdyż pełni zarazem funkcję garderobianej.

Jest godzina 18.20. Zaczynają schodzić się aktorzy. Pierwsi przychodzą zazwyczaj Pan Dułski (K. Winkler) i jego „żona” sceniczna — Ćwiklińska.

Z Panią Dułską rozmawiamy jedynie przez drzwi, gdyż Ćwiklińska właśnie się charakteryzuje. — Rola Dułskiej bardzo mi odpowiada — mówi znakomita aktorka — ale za bardzo się w nią czasem wczuwam. Łapię się nie raz na tym, że już po zapadnięciu kurtyny, ciągle jeszcze jestem zła na kogoś, kto trzepie dywany na korytarzu „mojej” kamienicy.

P. Szulcówna, nieszczęśliwa lokatorka z Dułskiej, a jednocześnie inspicjent w spódnicę (i to długiej i niewygodnej, gdyż aktorka jest już w kostiumie) biega po schodkach za sceną, między kulisami aż furczy. Wszystkiego trzeba bowiem dopatrzyć.

— Zapalki do świecy są? — Są. Cygara na piecu? Są także. Wyobraźcie sobie, minę Dułskiego, który sięga po swe codzienne cygaro, znalazłby w pudełku... pustkę.

Zbliża się już godzina siódma. Przy szparze w kurtynie tłoczno. Każdy chce rzucić okiem na publiczność, która powoli zapełnia już widownię.

Hen wysoko nad sceną stoi już na posterunku mistrz światła p. Barański, który przeprowadza codzienną kontrolę instalacji.

— Panie Barański! Żarówka w piecu się nie pali — woła pomocnik maszynisty Piechura. Rzeczywiście, specjalna żarówka okresowa, imitująca blask ognia w piecu nie działa. Trzeba na gwałt zmieniać instalacje i podłączać drugie ognisko. A tu już drugi dzwonek na sali. Publiczność, ani się domyśla małej tragedii za sceną. Jest za trzy minuty siódma. P. Barański biegnie w kierunku swojej kabiny z nieodłączną karteczką z „planem” kiedy i jakie światła ma włączyć. Pani Dułska, w rannym kaftaniku stoi już w ciasnym „zaułku” między kulisami i czeka aż przebrzmi ostatnie uderzenie zegara (tj. rączki od szpady, w którą p. Szulcówna uderza miarowo starym pilnikiem). Za chwilę rozlegnie się za sceną przytłumiony kulisami głos — Hesia, Mela wstawać!

Przedstawienie się rozpoczęło. (Wys).